

Bez autorytetu

Autor tekstu: **Małgorzata Dorna**

Życie w cieniu autorytetów ma niewątpliwy urok — zwalnia bowiem z odpowiedzialności za czyn i za słowo, z samodzielnego interpretowania zdarzeń, z potrzeby twórczego i konstruktywnego myślenia. Życie bez autorytetów prowadzi do rzekomej anarchii, niebezpiecznego chaosu, ciągłej weryfikacji wygodnych stereotypów, nonszalancko odrzucanych ról.

Pierwsze kończy się bezpieczną drzemką w fotelu — drugie (bardziej spektakularnie) na stosie lub na szafocie, niekiedy (w tak zwanych "historycznych czasach") pod połyskliwym ostrzem gilotyny, gdy (jak śpiewał był niemodny już dzisiaj poeta) "padały karki w białiznie".

Podążając utartym, szerokim jak pas startowy szlakiem ma się niewątpliwą szansę na dotarcie do widocznego, powszechnie cenionego i mocno osadzonego w obowiązującym systemie wartości — celu. Błądząc po zarośniętych zielskim manowcach, zmierza się krętą i wyboistą ścieżką tuż nad przepaścią, ponad krawędzią otchłani i można nie dotrzeć nigdzie lub dokonać nieszczęsnego żywota śniąc obsesyjnie na jawie o wielkim Entré z wielkich liter, co nie nastąpi już nigdy.

W kulturze polskiej "okresu transformacji" (Czy kiedykolwiek okres ten dobiegnie szczęśliwego końca?) bez autorytetu żyć rzeczywiście nie sposób, nie sposób publikować, wydawać, zyskiwać tak miłą sercu popularność i sławę — nawet za cenę... niesławy. Przezorny oczywiście ten, kto "wielkie zmiany" przewidział i w odpowiednim momencie (istotne trafić w "swój czas") wybrał stosowny, a więc skazany na dożywotnią i nieodwołalną akceptację — autorytet.

U schyłku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia droga do kariery, a w konsekwencji do owych nieskończenie przyjemnych apanaży wiodła jak strzała puszczona z łuku, po prostej, bez znieczulenia (w odróżnieniu od owego "czasu kolistych powrotów", o którym dobrze było wspominać przy okazji każdego spotkania w gronie samozwańczych intelektualistów na naszym pocziwym, zaściankowym U. G.) ku seminarium prof. M. Janion, a bardziej konkretnie — ku kręgom zagorzałych Janionistów, czyli zdeklarowanych miłośników, zwolenników, klakierów podążających tropem myśli "Wielkiej Kasandry", autorki pamiętnego (dzisiaj dyplomatycznie pomijanego wymownym milczeniem) dzieła "Rewolucja, Marksizm, Romantyzm".

Pamiętam jakieś seminarium M. Janion (zapewne z okresu pracy nad cyklem "Transgresji") kiedy to przekraczając granice logiki i przyzwoitości zastanawiano się nad istotą twórczości Cz. Miłosza, a więc, czy poznawał był "głęboko", czy "płytko", na ile dane było mu doświadczać losu "poety pszczoł", na ile — uroków egzystencji padlinożernych "much". Było to jakoś w okolicach obchodów tygodnia kultury chrześcijańskiej, w których to udział (niekoniecznie "czynny") gwarantował zyskanie sławy "bojownika słowa i prawdy", człowieka tyleż bezkompromisowego, co nieobliczalnego (zatem zadeklarowanego "romantyka"), kokietującego tłumy możliwych wielbicieli Hamletowskimi rozterkami i Makbetowską (czyli nieco bezczelną, ale zawsze demoniczną) odwagą.

Teraz, po latach wypadaloby zapytać, na ile Janion okazała się "autorytetem", na ile Jej dość błyskotliwy i niewątpliwie poparty głęboką wiedzą filozoficzną i estetyczną, sposób prowadzenia rozważań z pogranicza sztuk pozostał istotny, znaczący dla pokolenia, żyjącego już w brutalnych warunkach "gospodarki wolnorynkowej", w czasach w których niewątpliwie łatwiej sprzedać własny, wykreowany na wszelkie marketingowe sposoby — wizerunek, niż słowo, zapis myśli, czy "kawałek" niezłej literatury.

Tamto pokolenie (doświadczając "rozdarcia wewnętrznego") teatralnym gestem odrzucało autorytety (patrz: zbiór esejów "Bez autorytetu", będący wspaniałą ripostą na książkę Kornhausera i Zagajewskiego "Świat nieprzedstawiony") uczestnicząc równocześnie z pełną kokieterii niekonsekwencją w spotkaniach uniwersyteckich, na których wszyscy mówili i myśleli "tekstem" (profesor Janion oczywiście), żarliwie ferowali wyroki, doznając intelektualnego orgazmu na myśl o przeżywaniu świata z pozycji "poety pszczoł", nie "much".

W latach osiemdziesiątych namnożyło się "autorytetów" w kulturze, co niewątpliwie łatwo można wytłumaczyć zupełną pauperyzacją sztuki, pełniącej nadal (jak przystało na kraj schizofrenicznie rozdarty między ideologią "czerwonych" i "czarnych") funkcje "służebne" wobec dochodzących do władzy partii, Kościoła, czy po prostu dominujących na danym terenie organizacji lub grup społecznych.

W salonach sopockiego BWA zaczęły pojawiać się cykliczne ekspozycje w stylu "Mistrz i uczniowie", ekspozycje pozwalające sądzić, że tylko powtarzając lub może bezkrytycznie powielając

koncepcje "Mistrza" można zyskać uznanie krytyki i nielicznego już wówczas grona "miłośników sztuki", dla których zakup obrazu czy rzeźby, najczęściej jednak rysunku, grafiki — stał się wyrazem przynależności do pewnej, niekwestionowanej elity.

Podążając zatem drogą uznanych i akceptowanych "Mistrzów" młodzi adepci sztuk wizualnych Gdańskiej PWSSP powielali w nieskończoność cykl kompozycji prof. W. Jackiewicza "Ciało" oraz wspaniałe, utrzymane w sepii i pompejańskiej czerwieni "truposze" prof. K. Bereźnickiego. Wyjątek stanowiła ekspozycja prac uczniów



Kazimierza Ostrowskiego ("Kaha"), który i jako profesor i prawdziwy "Artycha" unikał był programowo wszelkiej pozy, mimo że jako jeden z nielicznych mógł się poszczycić swym "okresem paryskim", kiedy to pobierał nauki malarstwa u samego Fernanda Légera.

Dyskutowało się wówczas jeszcze wiele o sztuce (zwłaszcza przy "drinku" w SPATiFie), dzieląc kulturę na tę salonową, mocno przeintelektualizowaną, "wysoką" i tę niższego rzędu, "niegodną", bez reszty "zamerykanizowaną", spauperyzowaną do ostatka, zbrukaną.

Współczesny człowiek, człowiek początków XXI wieku termin "sztuka" kojarzy nadal z wielością znaczeń, z całą gamą kontekstów, konkretyzacji, definicji brzmiących tym bardziej pusto i niewiarygodnie im częściej są stosowane. Mówi się zatem o sztukach wizualnych i o sztuce słowa (odwołując się do plastyki i literatury), o sztuce życia, kreowania własnej osobowości, wizerunku, przyjmowania i odrzucania masek, czy ról (nawiązując do doświadczeń teatru), wreszcie (bardziej konkretnie) o sztuce w aspekcie kultury masowej, mediów, techniki i technologii przekazu.

Tak, więc zgodnie z potocznym, uproszczonym odbiorem — sztuką okazuje się zawsze ta sfera ludzkiej działalności, która odwołując się do konwencji, artystycznego programu lub credo, a w efekcie do meta-języka, podejmuje próbę porządkowania świata zgodnie z intencją, pierwotnym zamysłem artysty.

Zmienił się jednak ów "zamyśl", tak jak zmienił się status, społeczny odbiór roli i pozycji artysty. Wiadomo, życie w cieniu ideologii i polityki, w cieniu skompromitowanych wartości i zdeklasowanych autorytetów — kosztuje! Niewątpliwie kosztownym zabiegiem, kosztownym z psychologicznego punktu widzenia — okazuje się także funkcjonowanie artysty w ramach tak zwanego "wolnego rynku", czyli tworzenie "dzieł" zgodnych z oczekiwaniami i wyobrażeniami "mecenasa", a w konsekwencji — programowe schlebienie prymitywnym gustom nie zawsze wyedukowanego i wymagającego odbiorcy. Czy zatem autorytetem w środowisku będzie ten, kogo dzieła "sprzedają się" najlepiej, czy też ten, kto dysponując odpowiednimi środkami może dzieła te nabywać "drogą kupna", przyznając sobie automatycznie pozycję znawcy kreującego gust zbiorowości, czyli tak zwanego ogółu? A może do miana "autorytetu" w dziedzinie sztuk wizualnych pretendowałby po prostu marchand, prowadzący cieszącą się niezłą renomą galerię?

Przed laty termin 'GALERIA' brzmiał jednoznacznie i dumnie, kojarzył się bowiem wyłącznie z salonem sztuki, z miejscem ekspozycji i promocji dzieł, poddanych zazwyczaj weryfikacji i ocenie krytyki — istniały jeszcze wówczas określone, czytelne kryteria wartościowania, związane przede wszystkim z walorami warsztatowymi dzieła, wyborem środków ekspresji i technik, dobranych przez profesjonalnych artystów w sposób intencjonalny, celowy.

Obecnie, w dobie totalnej amerykanizacji i pauperyzacji kultury, a w konsekwencji coraz większej unifikacji sztuki — "galerią" może być wszystko, począwszy od sklepiku z tandetną biżuterią i "second hand" ciuszkami, na kapiącej złotem, rażącej niesmacznym przepychem "świętyni konsumpcji", galerii handlowej, skończywszy.

Zaistnieć w konkretnym miejscu, w cieszącym się uznaną pozycją i renomą salonie oznaczało niegdyś wejść do grona niekwestionowanej elity, nazywanej jeszcze w początkach XX wieku "bohema", a więc grupą decydującą nie tylko o atmosferze i charakterze zbiorowości lub (ujmując rzecz "terytorialnie") miasta, ale także o niepowtarzalnym stylu całej epoki.

Taką szansę bliskiego obcowania ze sztuką, a nierzadko i z uchodzącymi za "cudownych ekscentryków" i "skandalistów" artystami, dawały już pod koniec XIX wieku społeczności "filistrów" i "mieszczan" — modernistyczne salony sztuki, kształtujące zarówno gusty odbiorców jak

i wizerunek ówczesnego Krakowa ("stolicy" awangardowych wówczas ruchów artystycznych).

Tak, więc w galerii, w miejscu spotkań cyganerii artystycznej (w równie ważnym punkcie na trasie artystycznych, "odlotowych" wojaży jak kawiarnia, elegancki lokal czy urokliwa "tanc buda") zwykle wrzało jak w tyglu, ścierały się opinie, programy, koncepcje, zmagano się na słowa i dzieła.

Była zatem galeria (używając bardziej nowoczesnej terminologii) swoistym centrum animacji kulturalnej regionu, zdobywając grono sympatyków sztuki i zwolenników poczynań konkretnych artystów — stanowiła nie tylko miejsce ekspozycji dzieł, ale i rodzaj klubu, którego bywalcy (również teoretycy sztuki, krytycy) kształtowali z powodzeniem poziom zainteresowań i rozległość horyzontów odbiorców. Czyż tak właśnie nie powinno się postrzegać roli autorytetów w kulturze? Czyż nie wydaje się ewidentnym błędem poszukiwanie ich poza sferą kreacji, w sferze działań lub może "wartości etyczno-moralnych"? Zapewne tak. Dla cyganerii artystycznej końca XIX wieku autorytetem okazywał się każdy, kto pozwolił sobie na bunt, nonszalancki gest sprzeciwu wobec mieszczańskich lub może raczej — drobnomieszczańskich upodobań.

Błędne byłoby jednak wiązanie genezy, pochodzenia galerii (jako swoistej instytucji kultury) wyłącznie z epoką modernizmu, czy z wcześniejszym, nieco "skandalizującym" zdarzeniem — jakim było otwarcie w 1863r. w Palais de L'Industrie "Salonu Odrzuconych".

Pierwsze bowiem salony, czyli miejsca w których artyści mogli prezentować swe dzieła na prawach pewnych "zapowiedzi", "zwiastunów" i "nowinek" z pracowni — organizowano najpierw sporadycznie, a później corocznie już od czasów rewolucji francuskiej 1789r. w Luwrze oraz w Salon Carré (stąd nazwa).

Wtedy już jednak zdawano sobie zapewne sprawę z faktu, że bez możliwości pokazywania swoich prac artysta faktycznie nie istnieje, podobnie jak bez artystów i grona krytyków, bez marchandówi rynku dzieł sztuki, bez tak zwanej "elitarniej", "wysokiej" kultury (prawdziwa zwykle jest taka) — nie można mówić o istnieniu świątłych, nowoczesnych społeczeństw.

Czy polskie należy do takich? Biorąc pod uwagę zupełną (zapewne ostateczną i nieodwołalną) klerykalizację życia, patrzenie na świat z perspektywy zaściankowych Wadowic — należałoby sądzić, że NIE! Autorytet Kościoła, Papieża — "człowieka", "erudyty" i "poety", autorytet zbiorowości (tak czynią wszyscy, więc i nam należy tak czynić, kochajcie zatem to, co my kochamy i nienawidzicie tego, co nam nienawidzić dane) — wiedzie prosto ku "prowincji ducha". Któż zatem pozostaje? Artyści...

To bowiem Oni zawsze będą prowokować odbiorcę do rozwoju, tak by język jakim się posługują, język bardzo specyficzny, subiektywny, zindywidualizowany, operujący (w przypadku malarstwa) plamą, kolorem i krechą, czasami także fakturą, a w przypadku grafiki, rysunku — programową ascezą barw, kreską, walorem, konturem — nie wymagał dodatkowego (morderczego dla sztuk wizualnych) komentarza.

Czy jednak sztuce potrzeba autorytetów, tak jak potrzeba ich złąknionym słów Ojców Kościoła katechetkom lub samarytankom, przeżywającym orgazm na myśl o "czynieniu dobra"? Pytanie to pozostanie bez odpowiedzi. Taki "chwyt" retoryczny na miarę miejsca i czasu. "Obrazy są we mnie — dorastają, miesiące, lata, wędrują ze mną, bywają pijane, bywają wściekłe, nienawidzą lub kochają. (...) twórczość nie znosi amoralności, imitacji odczuć, doznań. Jeżeli się nie ma trochę szacunku dla samego siebie trzeba się starać, poprzez twórczość mówić prawdę o stanie swej duszy, trzeba to robić bez względu na cenę jaką przyjdzie zapłacić." — Powiedział był kiedyś jeden z zaprzyjaźnionych malarzy. Czy szukał autorytetów? Nie sądzę. Ten, kto znajduje na początku drogi — nie szuka. Miał pewność. Sztuka, podobnie jak nauki ścisłe potrzebuje "pewników". Artysta pozostaje autorytetem sobie, samemu sobie, rzecz jasna!

Zobacz także te strony:

[Autorytety](#)

[Autorytet](#)

Malgorzata Dorna

Felietonistka i polonistka, krytyk sztuki (absolwentka teatrologii na Uniwersytecie Gdańskim), pisywała dla prasy wybrzeżowej (Głos Wybrzeża, Delta, Tygodnik Wybrzeże) i ogólnopolskiej (Sztuka Polska, Projekt). Od 2007 mieszka w Pile, gdzie prowadzi Galerię BWA.

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 22-04-2009)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6501) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6501>)

Contents Copyright © 2000-2009 Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2009 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl